

Karolina Sowińska



Słoń albo żona

-Morda do góry!

Kropla potu spłynęła po moim czole i ześlizgnąwszy się na skroniach, opadła na grafitową posadzkę. Bądź posłuszny, Jack.

Uniosłem lekko brodę i niepewnie skierowałem wzrok na opętane furiją oczy Hamright'a. Nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Nie próbować się uwolnić.

Delikatnie potarłem swoje skrępowane węzłem nadgarstki, chcąc choć na chwilę pozbyć się niekomfortowego ucisku, czyniącego ze mnie ofiarę i nieudacznika.

-Zachciało się oszukiwać? ZACHCIAŁO, TAK? Uważaj, Jack, oszuście! Uważaj, bo moi ludzie nie śpią.

Nie okazywać emocji.

-Umówmy się krótko, parszywy gnoju. Ty suko, nie graczu!!! Oddasz to, co ukradłeś jeszcze dzisiaj, to spróbujemy znaleźć pokojowe rozwiązanie!

Nie śmiać się. Śmiech to nie jest lekarstwo na niewyobrażalnie potężny, dudniący w uszach strach. Z resztą, jest to absolutnie niepożądane zjawisko w przypadku, gdy próbuje się ocalić własną głowę od ołowianej kulki, nie mając przy tym dobrych wieści dla rozwścieczonego posiadacza broni. Albo - mając bardzo złe wieści.

-Nie oddam. Nie mam ani grosza – wykrztusiłem z siebie zgodnie z prawdą.

Te słowa najprawdopodobniej były dużym błędem. Mogłem zapożyczyć się u najbardziej nadzianych kumpli, sprzedać swój dwupiętrowy dom z ogródkiem, płonący czerwienią wyścigowy wóz, zaniedbać kredyty i głodować przez miesiąc...byle uniknąć tego oświadczenia.

Za późno. Teraz tylko nie płakać.

Hamright wciągnął głośno powietrze przez nos, nie wypuszczając go przez dłuższą chwilę. Na jego szeroko rozdziawionych nozdrzach natychmiast popękały naczynka, tworząc mało efektowną mozaikę. Miałem wrażenie, że się gotuje. I, że z jego uszu za chwilę buchnie para.

-Dobrze...- syknął po chwili konsternacji. Przeraził mnie jego, bardziej szaleńczy niż krzyk, spokój w głosie.

Bez pośpiechu sięgnął po skórzany notes, drżącym palcem przejechał po liście nazwisk, obok których zapisane były numery telefonów i zatrzymawszy się na jednym z nich, spojrzał na mnie z nutą satysfakcji.

-Lubisz ryzyko. Oszustwo masz we krwi, plugawy łotrze – wyszeptał przez zaciśnięte zęby. – Zróbmy z tego użytek.

Sięgnął po telefon, nerwowo wprowadził numer i czekając na sygnał, zaczął rytmicznie stukać wskazującym palcem o blat stołu.

-Wprowadź je – ryknął do słuchawki.

Kogo je?

I po chwili dostałem odpowiedź. Do ciasnego pomieszczenia, w którym jednym źródłem światła była żarówka w agonii, a dym papierosowy zdawał się nie tyle, co szkodliwie wypełniać płuca, ale tworzyć efekt mgły, zostały wprowadzone Marie i Juliet. Żona i córka.

Nie one, nie tu. Nie z mojej winy!

Łzy bezradności napłynęły mi do oczu. To takie niemęskie...

-Nie..mieszaj..w..to..niewinnych..osób..- wycedziłem, nadaremnie próbując wstać z krzesła. Hamright zaśmiał się triumfalnie.

-Kochasz je? Hmm...– wydał z siebie pomruk zadowolenia - trudno odmówić ci gustu! Żonka nie była jaka, natura hojnie obdarzyła... Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli pożyczę sobie raz czy dwa? – w tym momencie Hamright złapał za pośladek moją Marie – albo trzy... Tego za wiele. Łapy precz bestio!!!

-Spróbuj. Spróbuj, a pożałujesz, że się urodziłeś, sukinsynie! – krzyknąłem nie hamując oburzenia.

-Poczekaj złotko! Nie tak prędko z obelgami. No, chyba, że nie chcesz już więcej zobaczyć Juliet...

Córka z całej siły kopnęła go w piszczel.

- Cały tatuś! No, no... A teraz posłuchaj. Jeżeli zależy ci na rodzinie, przywieziesz mi dziesięć ton kości słoniowej.

Oszalał!

-Pojedziesz z Turkithem. Przypilnuje, żebyś kolejny raz się nie 'pomylił' w obliczeniach. I w niczym innym – Hamright spojrział na mnie nieufnie - Mam mieć dziesięć ton kości słoniowej na przyszły tydzień. Klient czeka.

Kontrola celna na granicy każdego afrykańskiego państwa przeprowadza eksterminację wszystkich tych, którzy próbują wywieźć chociażby kilka gram sproszkowanej substancji z kraju. Kość słoniowa jest traktowana na równi z narkotykami w Europie.

-Dlaczego od razu nas nie zabijesz?!

-Turkith to mój człowiek. Nie mam powodu, by robić mu krzywdę. Jak i nie będą mieli celnicy. TY będziesz wioził towar, Turkith będzie tylko trzymał pieniądze.

Zerknąłem na moją żonę, wiceprezes fundacji walczącej z kłusownictwem. Przerazona kiwnęła twierdząco głową. Do dziś zastanawiam się, co było bardziej szokujące: tragizm sytuacji czy jej reakcja.

Wystawiłem wilgotną od potu rękę za okno furgonetki. Arutykinn, jedno z większych kenijskich miast przywitało nas nie możliwą do zniesienia temperaturą. Nadzieją dla naszych europejskich, przyzwyczajonych do klimatyzacji ciał były obfite ulewy – zwane przez geografów deszczami równikowymi. Póki co nie zanosilo się na takie.

Wtem na horyzoncie ujrzałem grubą, szarą kreskę. Po dłuższej chwili odcinek zaczął dzielić się na mniejsze części, a im bliżej niego się znajdowaliśmy, tym łatwiej było stwierdzić, że zamiast deszczu napotkaliśmy prawdziwe, afrykańskie słonie. Te, o których życie walczyłem tak długo.

Słonica nabierała trąbą wody z bardzo płytkiego strumienia, po czym polewała nią swoje rozgrzane dzieci.

-Turkith, spójrz!– odwróciłem się do mojego nowego przyjaciela.

Nie, Turkith wcale nie był człowiekiem Hamright'a. No, może tylko oficjalnie...

Łączył nas dług u Hamright'a i konieczność jego spłacenia – wystarczająco wiele, by ze sobą współpracować.

Kiedy minąwszy stado słoni dotarliśmy na miejsce, gdzie niejaki Essodolom Niyjaka miał

przyjąć nasze zamówienie, wysiadłszy z samochodu, natychmiast zmieniłem zdanie.

Żar lał się z nieba. Podparłem swoje mdlejące ciało o maskę naszej furgonetki. Dziesięć ton. Czy ktoś chciał z tego wybudować pałac?!

-Słonie albo rodzina, stary! – krzyknął z oburzeniem Turkith. Po raz pierwszy od przylotu do Afryki dzieliła nas różnica zdań.

-Zaufaj mi! - wymyśliłem na poczekaniu plan zastępczy – Kupimy podróbę.

-...podrobę?

-Brak problemów z zabijaniem celników. Taniej. Możemy uratować tysiące istnień.

-Znasz tę branżę, co? – towarzysz zmierzył mnie wzrokiem.

-Trochę – dopiero wtedy zorientowałem się, że nigdy nie wspominałem o fundacji – wiem nawet, gdzie znaleźć sprzedawców fake'ów.

Od lat wspieraliśmy z żoną ich działania, wysyłając zebrane pieniądze. Rozwój firm zajmujących się sztuczną, można by rzec 'ekologiczną' kością, powoduje plajtowanie kłusowniczych grup.

Całej rozmowie przysłuchiwał się przygarbiony i lekko pomarszczony kłusownik. Essodolom Niyjaka, który właśnie postanowił się ujawnić.

-Błagam! – krzyknął w naszą stronę po angielsku, wyskakując zza bramy – Błagam! Nie odchódźcie!

Za prowizorycznym płotem można było dostrzec czających się około tuzin dzieciaków. Kości i czarna skóra. Wielkie, brązowe, głodne oczy wlepione w białego businessmana.

-Głodujemy od tygodni. Okropne susze i nieurodzaj – wył staruszek. – Nie kupujcie podróbek, bo pan się wasz zorientuje. Kupcie nasze, prawdziwe. My zapolujemy.

Pomimo nienawiści do kłusowników, coś ścisnęło mnie za serce. Nie mogłem znieść tego widoku cienia człowieka, z wklęsłym brzuchem, żebrami przebijającymi jego skórę, smutnymi, starymi oczami z poślizgniętymi białkami. Cień, któremu JA mogę pomóc.

Nowy plan. Dając pieniądze Essodolomowi zapewnimy mu dobrobyt i zwolnimy z obowiązku polowania, ratując tym samym słonie. To nawet lepsze, niż wspieranie podróbek. Turkith, słysząc mój kolejny pomysł, nie wytrzymał. Moja dobroduszość może przyprawić nasze rodziny o śmierć, stwierdził.

-Z czym chcesz wrócić do Hamright'a? Z poczuciem satysfakcji, że nakarmiłeś sukinsyna, który wybija te twoje kochane słonie?

Mimo, że Turkith zaatakował Essodoloma, właśnie wtedy zrozumiałem, że kłusownik nie jest mordercą, nie zabija dla zabawy – w domu czeka na niego kilkanaście pustych żołądków.

Słowo 'sukinsyn' wycelowane w podstarzałego Murzyna wyjątkowo mnie zniesmaczyło.

-Turkith, jesteś niesprawiedliwy. Gdybyś urodził się tutaj, stałbyś się tą samą osobą... - wyrzuciłem z siebie luźną myśl.

Turkith obrzucił mnie pełnym odrazy spojrzeniem, łykając moje ciężko strawne słowa.

-Wydajmy Hamright'a! Powiedzmy policji jakie złożył zamówienie. Dziesięć ton kości słoniowej. Nie wygrzebie się z kicia przed końcem swego marnego żywota!

Zdecydowanym krokiem weszliśmy do gabinetu Hamright'a.

Moja żona, ubrana w skąpą, satynową bieliznę, wylegiwała się na skórzanej kanapie wroga.

Na mój widok prędko poprawiła miseczki stanika w obawie o niedbale wystające sutki.

Zastygłem w bezruchu i niewierze. Turkith udawał, że nie widzi.

Z sąsiedniego pomieszczenia wyłoniła się postać potężnego, sprawiającego wrażenie napompowanego ponadpięćdziesięciolatka.

Trzymając w ręce kieliszek wina, spojrzał na mnie badawczym wzrokiem.

-Towar stoi przed bramą – skłamałem prędko, ale Hamright zdawał się być kompletnie niewzruszony: nonszalancko odstawił trunek na blat hebanowego stolika i oparł ręce na biodrach.

-Perfekcyjnie. Czas na kolejną część zabawy, plugawy oszuście...

Do pomieszczenia wpadło dwóch funkcjonariuszy.

Nareszcie, ten koszmar trwa już o wiele za długo!

Pochwyciwszy moje ręce, skuli je w kajdany. Ponownie skrępowany. Nieporozumienie!

-Nie, to nie ja! To ON zamówił kość słoniową! – oskarżycielsko i z pogardą wskazałem brodą na rozpromienioną twarz Hamright'a.

-Panie Jack Chariot, zostaje pan zatrzymany za oszustwa finansowe na niekorzyść pana Williama Hamright'a.

Przynajmniej żona syta i słoń cały.